słomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—30 · XI · 1986 | 22

Fot. Jacek Łapuszyński

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

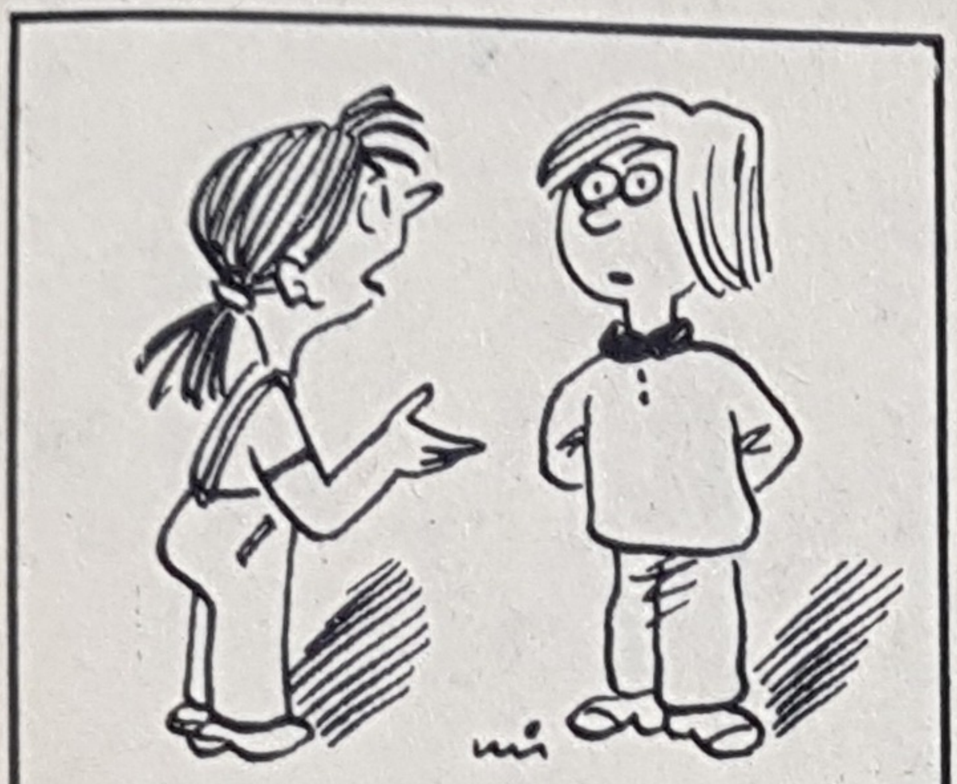

— Powiedz prawdę! — Ty mówisz, że masz dwie siostry, a twoja siostra mówi, że ma tylko jedną!

— Jestem w kuchni! Jem kawałek tortu!

— Nie ma taty ani mamy, ani babci. Jest tylko kot. Chce pani z nim mówić?

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

NAJMNIEJSZYM państwem w Europie (nie licząc Watykanu, który jest państwem kościelnym i zajmuje obszar 0,4 km kw.) jest Monaco. Ma tylko 1,57 km kw. powierzchni i około 30 tys. mieszkańców. Nieco większymi państwami od Monaco, ale równie małymi są: San Marino — powierzchnia 60 km kw., około 25 tys. mieszkańców, Liechtenstein — powierzchnia 157 km kw., a 25 tys. mieszkańców, Malta — powierzchnia 316 km kw. a ponad 300 tys. mieszkańców i Andora — powierzchnia 465 km kw. i ok. 30 tys. mieszkańców.

●

NAJMNIEJSZY — jak dotąd — magnetofon kasetowy prezentowany był na wystawie sprzętu elektrotechnicznego w Berlinie Zachodnim. Ma on wymiary 54 mm×85 mm×14 mm. Waży tylko 85 g.

●

NAJDŁUŻSZY nos ma słoń. Tak, słoń, bo trąba słonia jest wielkim, wydłużonym nosem. Służy ona przede wszystkim do wąchania oraz do chwytania pokarmu, ale nie tylko, gdyż trąbą słoń może rzucić piłkę i chwycić ją w locie.

NAJCIEPLEJSZYM morzem świata jest Morze Czerwone. Temperatura wody nie spada w tym morzu poniżej 20 stopni Celsjusza, a w najgorętszych miesiącach dochodzi do 33 stopni.

Morze Czerwone jest naprawdę czerwone. Nazwę swoją i barwę zawdzięcza związkom mineralnym rozpuszczonym w jego wodzie, żyjącym tam wodorostom oraz rudemu pyłowi nawiewanemu z pustyni. Morze to najbardziej zasługuje na swoją nazwę, gdy ogląda się je w czasie wschodu i zachodu słońca.

●

NAJMNIEJSZE drzewa na świecie rosną w okolicach podbiegunowych. Np. na Spitsbergenie spotkać można wierzbę polarną. Osiąga wysokość 5—10 cm, a grubość jej „pnia" wynosi od 3 do 6 mm. Wszystkie liście tego „drzewa" można zliczyć na palcach obu rąk. Naprawdę dużymi roślinami na tej wyspie są trawy — wyższe od wszystkich rosnących tam drzew. Mają one 40 — 50 cm wysokości.

Nasza okładka:

Medalista — Merdalista. Fotereportaż z Wystawy Psów Rasowych na str. 16—17

MIASTECZKO

Już śpi
błękitne miasteczko.
Domy
jak na obrazku!
I stary kościół
aż po wieżę
skąpany w srebrnym blasku.
Na rzęsach okien
osiadł śnieg —
puszysty, biały, miękki.
Gdzie tylko spojrzysz —
błękit i biel,
gdzie spojrzysz —
biel i błękit.

Tylko czasami błysną gdzieś
latarni złote oczy
lub księżyc
jak medalion
na ciemnej wstążce nocy.

Dorota Gellner
Rys. Zbigniew Rychlicki

Opowiadanie

O szyby grzechocze deszcz, czasami uderza o ścianę skrzydło wiatru. Jeżeli przyłożyć nos do zapotniałej szyby, nie widać nic, prócz drobnych łez deszczu.

Z magnetofonu dobiega straszna pieśń, basowa i ponura:

...Gdy w brzuchu burczy,
dostaję kurczy
i jem wszystko, że aż furczy,
taki ze mnie wilk.

Pawełek, mój mały brat, siedzi na podłodze i słucha w skupieniu pieśni wilka, który nie pożarł jeszcze Czerwonego Kapturka. Kiedy milkną ostatnie słowa, Pawełek szybko przewija taśmę i basowy głos wilka wyśpiewuje swoją pieśń od początku.

W dużym pokoju siedzi ojciec przed włączonym telewizorem, ale wcale nie ogląda programu. Pochylony do przodu obejmuje dłońmi policzki, ma przymknięte powieki, gdy mama albo któreś z nas wchodzi do pokoju, ojciec otwiera oczy i udaje, że jest bardzo zajęty oglądaniem programu.

Razem z tym monotonnym bębnieniem deszczu, zrywami jesiennego wiatru, z piosenką głodnego wilka, z niepotrzebnym gadaniem telewizora, robi mi się strasznie smutno. Tylko z kuchni dolatują odgłosy maminej krzątaniny, codzienne i uspokajające, takie jak zawsze, od kiedy pamiętam. Więc wsłuchuję się w bulgot puszczanej wody, grzechotanie talerzy, gwizdanie czajnika.

Dzwonek do drzwi.

— Aśka!

— Monika, chodź do mnie. Jest kilka dziewczyn z naszej klasy.

Nim zdążyłam zapytać, mama wyszła z kuchni i uśmiechnęła się do Aśki.

— Zapraszasz Monikę?

Oczywiście Pawełek prztyknął wyłącznikiem meldując się w korytarzu:

— To ja idę do Kubusia.

Gdy przebiegaliśmy między jednym a drugim blokiem, skośny deszcz ciął policzki, zalewał oczy. Stopy grzęzły w zimnym błocie, w które wdeptano poszarzałe, ostatnie liście.

Na stole w dużym pokoju paliły się trzy świece, wielkie cienie tańczyły po ścianach. Dziewczyny z klasy siedziały naokoło stołu, a pełzający blask jakoś je przemieniał, może bym ich wcale nie poznała, gdybym weszła tutaj bez Aśki.

— Dobrze, że przyszłaś, Moniko.

— Dlaczego? — spytałam całkiem niemądrze.

— Niespodzianka — odpowiedziała Aśka.

Więc usiadłam jak one wszystkie, a tymczasem za ścianą, w drugim pokoju (mieszkanie Aśki jest takie samo jak nasze) Pawełek i Kubuś coś z ogromnym hukiem przesuwali po podłodze i warczeli głośno naśladując pracujący silnik.

Potem w drzwiach stanęła mama Aśki.

— No, dziewczynki! Od czego zaczynamy?

Z pojawieniem się Aśczynej mamy nagle wszystko zrobiło się zrozumiałe i proste. Dzisiejszy wieczór to Andrzejki, czas wróżb. I my miałyśmy sobie wróżyć.

— Zdejmijcie but z lewej nogi. Koniecznie z lewej, inaczej nieważne — komenderowała mama Aśki. — Rozpoczynacie, tak jak siedzicie.

To polegało na przestawianiu pantofli, tak żeby przestawiać jeden za drugim. Ta, której but dotknął pierwszy noskiem progu, najprędzej wyjdzie za mąż.

— Teraz nie twoja kolej!

— Oszukujesz! Przestawiłaś za daleko.

— Odsunęłaś mój — kłóciły się dziewczyny. To śmieszne, ale każda chciała, żeby to jej pantofel pierwszy dotarł do drzwi. Okazało się, że najprędzej znajdzie męża Karolina. Niby się śmiała, ale wyczuwało się, że jest zadowolona.

Zwabieni chichotami i kłótniami wsunęli się między nas dwaj mali, Kubuś i Pawełek. Rozdziawiając buzie przyglądali się wędrówce sznura pantofli do progu.

— Ja mogę też? — spytał Pawełek.

— Nie — odpowiedziała mama Aśki. — To nie jest wróżba dla chłopców.

— Jak dla dziewczyn, to ja wcale nie chcę — zgodził się Pawełek, a Kubuś pokiwał głową. Rzeczywiście to dobre dla dziewczyn, a nie dla poważnych młodzieńców, uczęszczających do zerówki.

Później puszczałyśmy igły na wodę. Nigdy bym nie uwierzyła, że można tak położyć na wodzie dwa cieniutkie ostrza, że nie utoną. Jeżeli uda się sztuka położenia, to można poczekać, a igły zaczną się zbliżać do siebie. Jeżeli się spłyną, temu, komu udała się ta sztuka, spełni się marzenie.

Właściwie to tak naprawdę puszczanie igieł udało się tylko mamie Aśki. Od pierwszego razu.

— Jakie masz, mamo, marzenie? — chciała wiedzieć Aśka.

— Moja tajemnica.

— Mama chce mieć samochód. Żółty — objaśnił nas Kubuś. — Albo nową pralkę.

Ciągnięcie kartek z imionami chłopców spowodowało przyciszone śmiechy. Przez chwilę zastanawiałam się, czyje imię wpisać. Owszem, było kilku chłopców, których lubiłam, ale żadnego z nich nie lubiłam tak bardzo, żebym chciała, by jego imię zostało wyczytane razem z moim. Po namyśle napisałam na kartce „Paweł". Mój brat bywa okropnie dokuczliwy, ale i tak jesteśmy razem, więc wróżba niczego nie zmieni.

Kiedy mama Aśki odczytała: „Monika i Paweł" — Kubuś wyszedł spod stołu:

— Ten Paweł, który ma wyścigówkę z bidonem i noskami?

Kiwnęłam głową, dobrze, niech będzie taki, który ma wyścigowy rower. Nie będę przecież tłumaczyła Kubusiowi.

— Jak on się z tobą ożeni, to dasz nam rower — z tym oświadczeniem Kubuś zniknął z powrotem pod stołem.

Miednica została ustawiona pod samą ścianą. Aśka przycięła knoty świec. Zrobiło się trochę jaśniej, gdy z kuchni został wniesiony garnuszek roztaczający mdły zapach.

— Lejcie przez ucho od klucza — przykazywała Aśczyna mama. — Nie pryskajcie stearyną na podłogę. I nie poparzcie się. No, córeczko, zaczynaj.

Potem mama Aśki odławiała z miednicy zastygły kawałek stearyny i zaczynała go okręcać na wszystkie strony, na ścianie przesuwał się zogromniały cień.

— Ojej, hipopotam.

— Hipopotam. Tutaj ma pysk, a tu nogi.

— Ale tylko trzy — powiedział Pawełek, który wychynął ze swego ukrycia, uważnie przyglądając się cieniowi wydającemu się drgać w świeczkowym blasku.

— Należy przypuszczać, że Asia będzie pracowała w ZOO — wydała wyrok pani Nowakowa.

— Ona się nie nadaje do ZOO — zaprotestował Kubuś. — Mamo, ty jej nie pozwól. Ona się boi myszy.

Aśka nie zwróciła uwagi na ten sprzeciw. Kolejno dziewczyny ujmowały garnuszek i pochylały się nad miednicą. Jedne chlustały energicznie, wcale się tym nie przejmując, że nie trafiły w kluczowe ucho, inne kapały powolutku i rozważnie.

— Pióro!

— Stonoga!

— Szczypce!

— Torba!

Mama Aśki wszystko potrafiła wytłumaczyć, nawet stonogę. Natalia, której ulał się ów wielonożny stwór, miała się w przyszłości zająć parazytologią.

— To bardzo poważna dyscyplina naukowa — ucięła mama Aśki nasze śmiechy. — Ochrona środowiska przed szkodnikami. Poznawanie życia owadów i robaków.

Dziwne, bo naprawdę Natalia ma piątkę z biologii. Pamiętam, jak w drugiej klasie przywiozła z wakacji zielnik. I ma własnego psa, a także dwie turkusowe papużki w dużej, drucianej klatce.

Małych też dopuszczono do miednicy.

O ile Kubusiowi ulało się coś, co można było uznać za samolot, nad kawałkiem stearyny chlapniętej przez mojego brata rozgorzała zacięta dyskusja.

Pani Nowakowa zaś obracała ową wylewankę tak i siak, aż nagle wszyscy zawołaliśmy :

— Pojazd kosmiczny.

— Łunochod.

— Taki sam był na filmie...

A kiedy to już ustalono, Pawełek wyciągnął rękę i zabrał kawałek stearyny.

— Ja go schowam, żeby się nie zmieniło.

— Ja polecę z tobą — dopominał się Kubuś.

— Dobrze.

Pawełek powiedział to tak okropnie poważnie, że omal nie roześmiałam się głośno. On naprawdę uwierzył w to, że kiedyś poleci na wielką kosmiczną wyprawę. A może... Może rzeczywiście tak będzie? Taki prawdziwy kosmonauta też kiedyś był przecież małym chłopcem, który gubił pierwsze zęby i jeździł plastykowym samochodzikiem po obrzeżu piaskownicy.

— Twoja kolej, Moniko.

Prawie nie zostało stearyny w garnuszku, byłam ostatnia. Wysączyłam więc tę resztkę.

Tym razem nawet Aśczyna mama nie mogła się zdecydować, co przedstawia cień. Raz przypominało to zakręcony ogonek kundelka, a drugi raz perkaty nos, taki jak sprzedają w sklepie papierniczym przed sylwestrem.

— To jest chyba nos.

— Nie wściubiaj nosa, bo ci przytną — syknęła Beata. Beata mnie nie znosi od czasu, gdy byłam dyżurną i przyłapałam ją na wyrzucaniu nie dojedzonego jabłka przez okno.

— Nie zadzieraj nosa!

— Nos w sos, zęby w otręby.

Byłam bliska płaczu, słuchając tego wszystkiego. Dziewczyny trajkotały jedna przez drugą. Każda chciała powiedzieć coś śmiesznego, tylko to, co mówiły, wcale nie było śmieszne. Mogły gadać, co chciały, im andrzejkowa wróżba przyobiecywała dalekie podróże, ciekawą pracę, same miłe rzeczy. A ja miałam tylko ten nos i nic więcej.

— Przyjmijmy, że zostaniesz laryngologiem — pocieszyła mnie pani Nowakowa, ale mówiła bez przekonania. — Bardzo pożyteczna i potrzebna specjalność.

Na dworze wiatr ucichł, ale deszcz rozpadał się jeszcze mocniej niż wtedy, gdy szliśmy do Aśki. Biegliśmy z Pawełkiem pod mokrym chlustaniem od tamtej do naszej klatki. W ciemnościach (ktoś znowu stłukł żarówkę) Pawełek wsunął mi coś do ręki.

— Weź to sobie — zaszeptał. — Polecimy razem.

I w ciemnej klatce schodowej zrobiło się nagle jasno od tego szeptu.

Ewa Nowacka
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

A wtem wieczór tuż, tuż każdy szczęścia szuka

Fot. Stefan Rutkowski

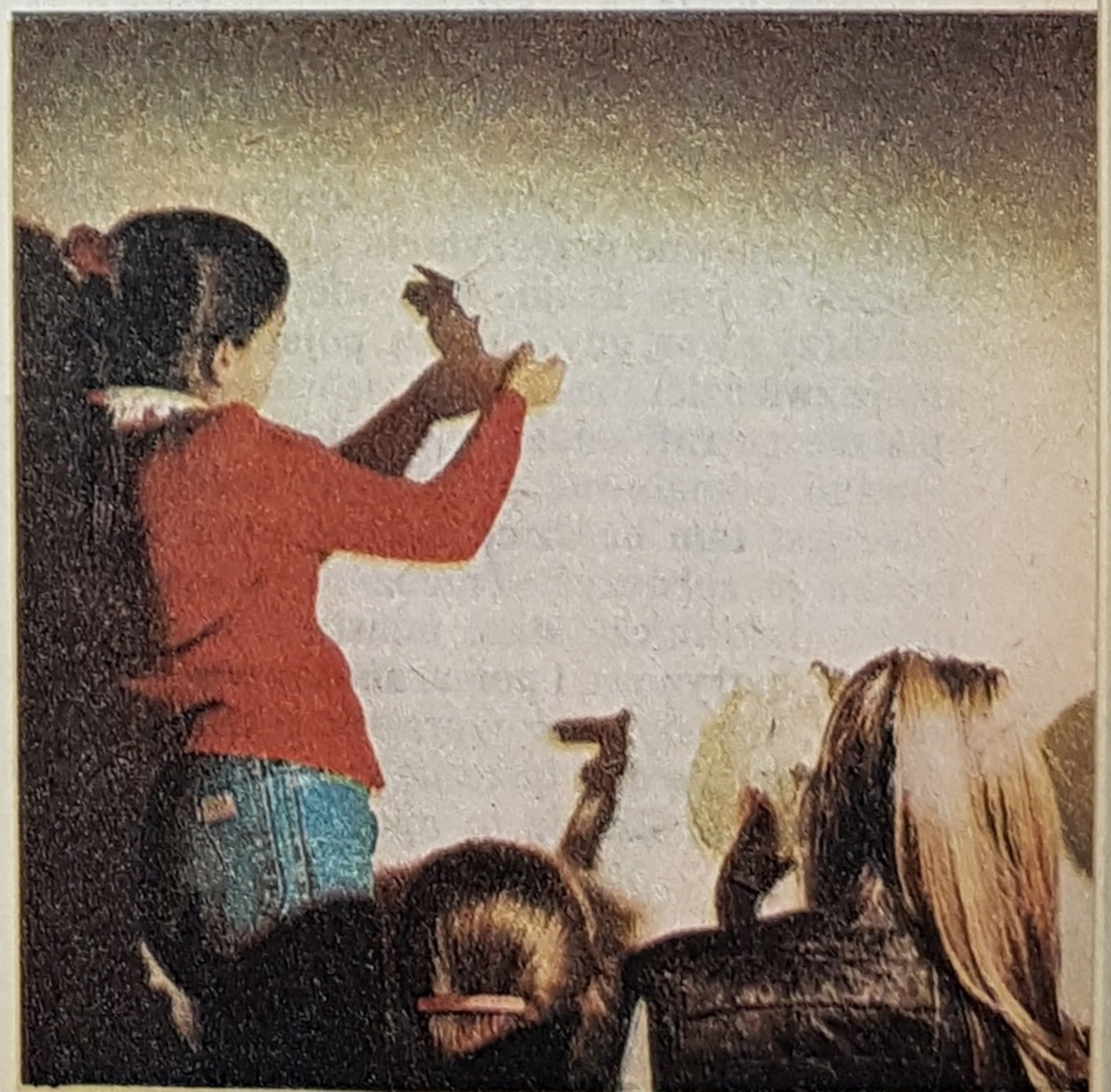

ROMAN PISARSKI — autor stanowiącej waszą lekturę opowieści „O psie, który jeździł koleją" — żył w latach 1912 — 1969. Dla dzieci i młodzieży napisał ponad 30 książek. Na jego twórczość składają się przede wszystkim wierszowane opowiadania o charakterze poznawczym, np. „Opowieść o toruńskim pierniku" (1960), „Gliniane kogutki" (1962), „Domki, zamki, pałace" (1963), „Jak się mieszka tu i tam" (1963). Jest również autorem wierszowanych podręczników do nauki gramatyki: („Rzekła rzepa rzepakowi" (1958) czy „Kolorowa gramatyka" (1968). Jeśli tylko zdarzy się wam okazja, zajrzyjcie do tych książek. Być może dzięki nim zasady pisowni, a zwłaszcza ortografii przestaną być trudne i groźne, a wizja złych stopni z dyktand przestanie straszyć was po nocach.

Piękną i poprawną polszczyznę Roman Pisarski popularyzował przez kilkanaście lat również na antenie Polskiego Radia. Stworzył tam m.in. postać „Doktora Mów Dobrze", który w cyklicznych audycjach radiowych omawiał różnorodne problemy językowe. Poza tym Roman Pisarski jest autorem słów do kilkuset piosenek, które radio emitowało dla swych młodych i najmłodszych słuchaczy.

Gdy przeczytacie już opowiadanie „O psie, który jeździł koleją", sięgnijcie do innej ciekawej książki tego autora, a mianowicie do jego sensacyjno-przygodowej powieści „Wakacje w ZOO". Warto.

E. B.

NASZE LEKTURY

O PSIE, KTÓRY JEŹDZIŁ KOLEJĄ

Włochy to piękny i malowniczy kraj na południu Europy. Każdy, kto spojrzy na mapę, znajdzie je od razu. Mają kształt ogromnego buta.

Na cholewie, a także na obcasie tego buta pełno jest miast i wsi. Łączy je ze sobą sieć dróg i torów kolejowych. Na mapie wyglądają one jak nitki pajęczyny.

Nie będę wam opisywał krajobrazu Włoch. Kiedyś zapewne przeczytacie wiele ciekawych książek o tym kraju. Kto wie, może nawet niektórzy z was, gdy dorosną, pojadą do Włoch, aby je zwiedzić. Przekonają się wtedy, że żaden opis nie potrafi oddać ich piękna. Bo trudno słowami odmalować prześliczny kolor nieba, które jest tam bardziej niebieskie niż turkus. Trzeba je zobaczyć. Trzeba na własne oczy ujrzeć malownicze stare miasta i miasteczka włoskie, cytrynowe i pomarańczowe gaje, góry i doliny, aby się nimi naprawdę zachwycić.

Posłuchajcie dziś historii, która zdarzyła się we Włoszech. Będzie to opowieść o ludziach i o pewnym psie. O psie, który jak prawdziwy turysta sam podróżował koleją po całym kraju. Będzie to zarazem opowieść o wielkiej przyjaźni. Nie jest to zmyślona historia. Chociaż dziwna, zdarzyła się naprawdę...

Pewnego dnia...

Tak, pewnego dnia na węzłowej stacji Marittima w środkowych Włoszech oczekiwano na pociąg, który szedł z Turynu do Rzymu. Był upalny lipcowy dzień. Słońce, jak to we Włoszech, grzało tak mocno, że ludzie musieli chować się w cień. Na peronie stacyjnym było pusto, bo wszyscy podróżni ukryli się w poczekalni. Tylko zawiadowca stacji wyszedł przed budynek, włożył urzędową czapkę i zapiął bluzę munduru na ostatni guzik. Słychać już było gwizd zbliżającego się pociągu. Zza kępy drzew, które rosły obok dworca, wysunęła się błyszcząca elektryczna lokomotywa — za nią przemknął sznur wagonów. Zatrzymały się.

Kiedy do pociągu wsiadło kilku pasażerów, zawiadowca podniósł rękę, dając sygnał od-

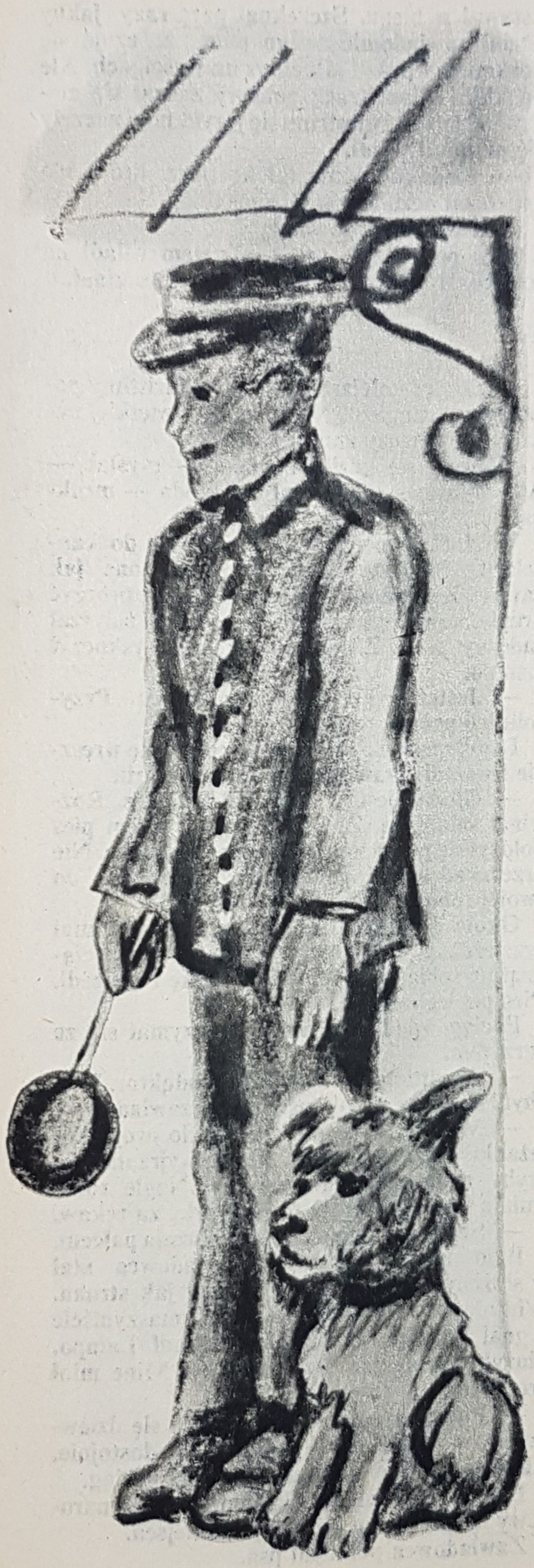

jazdu. W tej chwili zobaczył, że z ostatniego wagonu wyskoczył jakiś pies.

Pociąg odjechał, a pies podbiegł do zawiadowcy i zaczął się łasić. Potem pokiwał ogonem i rozejrzał się dookoła. Tuż przy torze stała pompa stacyjna. Pies podbiegł do kamiennego zbiornika na wodę, który stał obok pompy, i jednym susem wskoczył na cembrowinę. Kolejarz popatrzył, jak psiak chłepcze wodę, wreszcie obrócił się na pięcie i wrócił do biura.

Zamknął starannie drzwi, zdjął czapkę i pogrążył się w swoich papierach. Po chwili usłyszał skrobanie do drzwi. Uchylił je i zobaczył znowu psa.

— Czego chcesz? — roześmiał się. Pies usiadł przed nim i popatrzył mu w oczy.

— Czego chcesz? — spytał znowu zawiadowca. — Jesteś głodny?

Spojrzał uważnie na kundla. Było to bardzo miłe kudłate psisko podobne trochę do szpica, a trochę do owczarka. Oczy miało wesołe i szelmowskie. Jedno ucho sterczało do góry, drugie opadało w dół. Nadawało to psu pocieszny, a zarazem zawadiacki wygląd.

Zawiadowca sięgnął po swój chleb z kawałkiem sera, pokruszył go i poczęstował gościa. Pies był widać głodny, jadł z apetytem, ale nie łapczywie, jak to czasem robią źle wychowane kundle. Kolejarz pogłaskał go. Poczuł sympatię do tego zwierzęcia i pomyślał, że warto się nim zaopiekować. Od dawna chciał mieć psa-przyjaciela, który bawiłby się z dziećmi i pilnował domu. Mieszkał dwadzieścia kilometrów od stacji, tuż przy małym kolejowym przystanku. Okolica dookoła jego domu była pusta. „Dzieci ucieszyłyby się, gdybym im przywiózł tego psa" — pomyślał kolejarz.

— Pojechałbyś do mnie? — spytał.

Pies zaszczekał cicho i pomerdał ogonem. Wyglądało na to, że zrozumiał.

— Będzie z tym trochę kłopotu — powiedział zawiadowca. Wiedział, że przepisy kolejowe zakazują przewożenia zwierząt osobowymi pociągami. Jako kolejarz nie mógł naruszyć tych przepisów. Ale bardzo chciał zabrać psa ze sobą. „Coś trzeba będzie wymyślić" — mruknął.

II

Pociąg miejscowy z Marittimy do przystanku obok Piombino, gdzie mieszkał zawiadowca, odchodził dopiero wieczorem. W ciągu kilku godzin, które kolejarz i pies spędzili razem, zdążyli się zaprzyjaźnić. Pies ani na krok nie odstępował nowego pana. Chodził z nim po całej stacji.

Późnym popołudniem obaj wybrali się do bufetu. Zawiadowca jadł podwieczorek i częstował psa.

— Skąd pan go ma? — zapytał bufetowy. — Miła psina. Ma taką sympatyczną mordę...

— Przyjechał rzymskim pociągiem — wyjaśnił zawiadowca. — Widać ktoś chciał się go pozbyć i wysłał w podróż. Ludzie mają różne sposoby...

— Tak pan myśli? — roześmiał się bufetowy. — A bilet miał? — Podszedł do psa i podał mu kawałek kiełbasy.

— Delikatny pies — pochwalił. — Nie rzuca się na jedzenie. Ma honor.

— Mądre psisko — przyświadczyli kolejarze, którzy siedzieli przy stole. — Jak się wabi?

Zawiadowca wzruszył ramionami.

— Ja bym go nazwał „Lampo”* — powiedział jeden z kolejarzy. — Żywy jak iskra, ślepie mu się świecą, a na grzbiecie ma jasną pręgę — widzicie. Prawdziwa błyskawica nie pies.

— Chodź, Lampo — rzekł zawiadowca. Spodobało mu się to imię. Wstał. Zapłacił w bufecie za podwieczorek i wyszedł. Pies pobiegł za nim.

— I co z tobą zrobię, biedaku? — spytał człowiek. — Nie mogę przecież zabrać ciebie do wagonu. To nie takie proste... Miałbym przykrości... Rozumiesz?

Pies pisnął i popatrzył panu w oczy. Minę miał wesołą, jakby się uśmiechał.

— A może pobiegniesz za pociągiem? — roześmiał się kolejarz. — To podmiejski. Wlecze się jak żółw. Nie zdążyłbyś?

Pies pomerdał ogonem.

— Zrobione — powiedział zawiadowca. — Uważaj więc. Za kilka minut ruszamy.

Spojrzał na zegarek i skierował się na peron. Kiedy pociąg zajechał, kolejarz wszedł do wagonu i opuścił okno. Pies został na peronie. Czekał na rozkaz.

„Ciekaw jestem, czy zrozumie, o co mi chodzi” — pomyślał zawiadowca.

Lokomotywa ruszyła. Kolejarz wychylił się z okna i cicho zagwizdał. Lampo poderwał się i zaczął biec obok pociągu.

— Mądra psina — ucieszył się człowiek, Kiwnął ręką i pokazał psu kierunek. Obok toru biegła wąska ścieżka. Pies trafił na nią i pędził równo z pociągiem. Od czasu do czasu zwracał łeb w stronę okna, szukając oczyma znajomej sylwetki.

— Śmiało, Lampo, śmiało! — zachęcał go kolejarz.

Pociąg sunął coraz prędzej. Lampo nie ustawał w biegu. Szczeknął parę razy, jakby chciał zawiadomić swego pana, że czuje się doskonale i pędził jak chart na wyścigach. Ale po kilku kilometrach gonitwy zaczął się męczyć. Z pyska zwiesił mu się język, nogi zaczęły się plątać. Dyszał.

— Biedaku — szepnął kolejarz, który nie spuszczał oczu z psa. Kiwnął ręką.

— Zostań! — zawołał.

Pies posłusznie stanął, a potem usiadł na ścieżce. Był bardzo zmęczony. Ledwo zipał.

III

Nazajutrz kolejarz wrócił do Marittimy porannym pociągiem. Nie miał zbyt wielkiej nadziei, że zobaczy znowu psa.

„Pewnie się gdzieś zabłąkał — myślał. — Albo ktoś go przygarnął”. Szkoda — mruknął.

Wysiadł z pociągu i skierował się do kancelarii. Pierwsze drzwi były uchylone jak zawsze. Zawiadowca wyjął klucz, aby otworzyć drugie, wewnętrzne drzwi, i w tej chwili usłyszał radosny pisk. Z kąta korytarza wyskoczył Lampo.

— Jesteś — krzyknął zawiadowca. Przytulił łeb psa do swoich kolan.

Lampo łasił się i skakał. Uspokoił się wreszcie i wszedł z zawiadowcą do kancelarii.

— Głodny jesteś? — spytał kolejarz. Rozwinął śniadanie. Zjedli je obaj, a potem pies położył się pod stołem tuż w nóg człowieka. Nie przeszkadzał już panu, który zabrał się do swojej roboty.

Około godziny dziesiątej przez stację miał przejeżdżać pospieszny. Zawiadowca obciągnął na sobie mundur, wziął czapkę i wyszedł. Pies pobiegł za nim.

Pociąg wpadł na stację i zatrzymał się ze zgrzytem.

— Marittima! — krzyknął konduktor. Wychylił się przez okno i zasalutował zawiadowcy.

— Marittima — powiedziała do swojej koleżanki jakaś panienka, która wyjrzała zza szyby restauracyjnego wagonu. Nagle roześmiała się i pociągnęła towarzyszkę za rękaw.

— Spójrz na tego psa. — Pokazała palcem.

Było na co patrzeć. Zawiadowca stał w służbowej postawie, wyprężony jak struna. Właśnie podniósł dłoń, aby dać maszyniście sygnał odjazdu. Obok niego usiadł Lampo. Służył, wyciągając przednie łapy. Minę miał uroczystą.

— Pocieszny pies — roześmiała się dziewczyna w oknie. — Wygląda tak dostojnie, jakby to właśnie on odprawiał nasz pociąg.

Lampo zaszczekał. Ogromny międzynarodowy ekspres drgnął i ruszył z miejsca.

Zawiadowca poklepał psa.

---

*„Lampo” po włosku znaczy „Błyskawica”

— Dziękuję ci, Lampo, za pomoc — powiedział.

IV

Tego samego dnia kolejarz złamał przepisy. Wieczorem, gdy na stację zajechał miejscowy pociąg, ukrył psa pod bluzą i wsiadł z nim do wagonu. Znalazł pusty przedział. Lampo zrozumiał, o co chodzi. Wlazł pod ławkę i siedział tam jak trusia aż do końca podróży. W Piombino bez oporu dał się wysadzić na drugą stronę toru. Kiedy pociąg odjechał, pies dogonił pana. Nikt na stacyjce nie domyślił się, że Lampo przyjechał koleją.

— Gina — zawołał na widok córeczki, która otwierała mu drzwi. — Popatrz, kogo przyprowadziłem.

Dziewczynka poczerwieniała z radości i zawołała brata. Mały Roberto aż klasnął w ręce.

— Jak on się nazywa? — spytał.

— Lampo. To dobry pies.

Weszli wszyscy troje do jadalni, gdzie matka ustawiała właśnie na stole talerze do kolacji. Lampo wszedł z powagą, pomerdał ogonem w stronę gospodyni i usiadł grzecznie pod piecem.

— Myślę, że nie będziemy z nim mieli kłopotu — odezwał się kolejarz. — Bardzo mądre psisko.

Opowiedział historię kundla. Wszyscy wysłuchali jej, kręcąc głowami. Nawet mała Adele wychyliła się ze swojego łóżeczka i słuchała ciekawie.

— Pieś — krzyczała klaszcząc w rączki.

Rodzina siadała do kolacji. Lampo jadł, biorąc delikatnie podawane kąski. Nie spieszył się, ani nie naprzykrzał. Po kolacji pomachał grzecznie ogonem, jakby chciał podziękować za poczęstunek. Potem wysunął się za drzwi.

— Chcesz się przejść? — spytał zawiadowca. — Dobra myśl.

Wyjął papierosa, zapalił i wyszedł za psem. Ze zdziwieniem zauważył, że Lampo pobiegł w kierunku stacji.

Na przystanek zajeżdżał właśnie ostatni pociąg do Marittimy. Stanął. Pies dobiegł do peronu, pokręcił się chwilę przy ostanim wagonie i nagle dał susa na stopień. Pociąg ruszył.

— Lampo! — zawołał zdziwiony zawiadowca. Zobaczył, że pies znalazł już wygodne miejsce na platformie wagonu.

— Lampo! — powtórzył człowiek.

Ale pies nie zeskoczył. Czerwone światło latarni wiszącej nad buforem oddalało się coraz bardziej. Pociąg zniknął w ciemności.

V

Następnego ranka, jadąc na służbę, kolejarz rozmyślał o ucieczce swego przyjaciela. Zawiódł się na nim. Było to przykre. „Dziwny pies" — mruknął. Przypomniał sobie, jak Lampo po raz pierwszy zjawił się na stacji. Skąd przyjechał? „Włóczykij" — mruknął znowu. Zadumał się. Tak, to nie był taki zwykły pies, z tych, które widzi się co dzień. Psy nie podróżują same koleją... A ten...

Najdziwniejsze było to, że Lampo zdążył na ostatni nocny pociąg. Skąd wiedział, o której godzinie trzeba wyjść z domu?

„Czyżby znał rozkład jazdy? — uśmiechnął się kolejarz. — Ale po co uciekał ode mnie? Dokąd pojechał?" — zaczął się zastanawiać. Pokręcił głową. Tak, to była dziwna historia... Gdyby ją komuś opowiedział, spotkałby się z niedowierzaniem. Ludzie pomyśleliby, że to bajeczka.

Pociąg dojechał do Marittimy. Zawiadowca wyjął z kieszeni służbowe klucze. Jeszcze nie doszedł do budynku, gdy drzwi biura uchyliły się. Wypadł z nich Lampo. Pędził jak prawdziwa błyskawica. Doskoczył do kolan pana, a potem usiadł i zaczął służyć. Minę miał tak filuterną, że zawiadowca wybuchnął śmiechem.

— A więc nie uciekłeś? Pilnowałeś biura, co?

Pies pokiwał ogonem.

— W takim razie wybaczam wszystko — ciągnął żartobliwym głosem kolejarz. — Służba to służba!

Poklepał psa. Lampo nie przestawał się łasić.

— Dobrze już, dobrze — powiedział zawiadowca. — Nie gniewam się ani trochę.

— Sprytne psisko! — zawołał dyżurny ruchu, który wyszedł właśnie ze swojego pokoiku. — Czy pan wie, że ten kundelek całą noc warował w korytarzu pod drzwiami pańskiego biura? Nie dał się nikomu odpędzić.

Zawiadowca już otworzył usta, aby opowiedzieć koledze o tym, jak pies sam wsiadł do pociągu, aby wrócić do Marittimy. Ale powstrzymał się w porę.

„Nikt w to nie uwierzy" — pomyślał.

VI

Weszło w zwyczaj, że Lampo co dzień wieczorem jeździł ze swoim panem na kolację do Piombino. Podróż spędzał zwykle pod ławką wagonu, siedząc w tym ukryciu jak mysz pod miotłą. Na stacji zeskakiwał chyłkiem na drugą stronę pociągu. Kolejarz nie miał z nim nigdy kłopotu.

Dzieci czekały już na gościa. Piszczały z uciechy, gdy Lampo wpadał do domu. Pies na widok małych przyjaciół okazywał tyle radości, że trudno go było nie lubić. Mały Roberto po prostu go kochał. Pieścił i głaskał, uczył różnych sztuczek. W czasie kolacji pies zawsze siadał obok jego krzesła. Dzieciak oddawał mu najlepsze kąski.

— Czemu on nie chce u nas mieszkać? — pytał ojca. — Tutaj mu przecież najlepiej...

— To kolejowy pies — śmiał się zawiadowca. — Musi pilnować mojego biura.

— Ale chociaż w niedzielę może u nas zostać — upierały się dzieci.

— Poproście, może zrozumie i zostanie — żartował ojciec. — Spróbujcie mu to wytłumaczyć.

Lampo nie dawał się jednak uprosić. Co dzień po kolacji o tej samej porze zrywał się z miejsca i żegnał z domownikami. Nie pomogło zamykanie drzwi. Skakał wtedy i rzucał się na klamkę. Dzieci pogodziły się z losem. Nauczyły się same wypuszczać psa z domu.

Lampo ani razu nie spóźnił się na pociąg. Być może słyszał go wcześniej niż wszyscy. W każdym razie wybiegał z domu punktualnie, jakby w brzuchu miał budzik. Zawiadowca razem z dziećmi odprowadzał go na stację, lecz po pewnym czasie zaniechał tego zywczaju. wiedział doskonale, że pies sam trafi do pociągu.

Codziennie rano Lampo oczekiwał na pana przed biurem. Witał się z nim z prawdziwą psią serdecznością, wchodził do kancelarii i zjadał tam przyniesione przez zawiadowcę śniadanie. Przez chwilę siedział jeszcze i patrzył, jak pan zabiera się do pracy. Potem wyruszał na obchód stacji.

— Oho, Lampo zaczyna dyżur — śmiali się kolejarze. Znali go już wszyscy. Stał się ich ulubieńcem. Byli z niego dumni.

Tak, to był wyjątkowy pies. Przywiązał się do ludzi i zapewne uważał się za pracownika kolei. Lubił swoją stację. Stała się jego domem. Nie było w niej zakątka, którego by nie znał. Co dzień po wyjściu z biura zawiadowcy przechodził wolnym krokiem przez długi, pokryty oszklonym dachem peron. Kręciło się po nim zwykle sporo podróżnych, ale Lampo nie zwracał na nich uwagi. To nie byli ludzie w mundurach.

— Lampo! — wołali robotnicy stacyjni, którzy wychodzili z narzędziami na tory. — Pójdziesz z nami?

Merdał ogonem i przyłączał się do brygady. Na miejscu pracy siedział przyglądając się, jak robotnicy dokręcają śruby. Nieraz wysługiwali się nim.

— Zanieś klucz — mówili. — Na tamten tor.

Podawali mu narzędzie dla kolegi, który czekał z wyciągniętą ręką. Lampo brał do pyska klucz lub młotek i odnosił, gdzie trzeba. Początkowo nie mogli nadziwić się, że taki

spryciarz. Potem przywykli do jego pomocy. Tylko ludzie z przejeżdżających pociągów, widząc psa przy robocie, otwierali ze zdziwienia usta.

W południe pies wybierał się do bufetu na obiad. Czekała już na niego gotowa porcja, którą zjadał nie marudząc. Wiedział, że nie ma czasu na zbyt długi odpoczynek. O trzynastej mijały się dwa pospieszne pociągi... Była to uroczysta chwila. Zawiadowca wkładał czapkę, otrzepywał mundur i wychodził na peron. Lampo nigdy nie przegapiał okazji, aby towarzyszyć swemu panu. Warto było widzieć, z jaką powagą zachowywał się przy odprawie pociągu. Kiedyś, gdy zawiadowca o mało nie spóźnił się na peron, pies narobił w biurze tyle hałasu, że zbiegło się pół stacji. Na tym psie można było polegać!

— Kupię ci czapkę, Lampo — śmiał się zawiadowca. — Dobry z ciebie kolejarz.

Kupił mu piękną obrożę. Stolarz stacyjny zrobił psu skrzynkę na legowisko. Ustawiono ją w korytarzu obok drzwi biura, gdzie Lampo nocował.

Na stacji żyło kilkanaście bezpańskich kotów, które nocowały w jednej z szop, na strychu gnieździły się dzikie gołębie. Nie przeszkadzano im tu mieszkać, czasem nawet rzucano okruchy. Ale ani koty, ani ptaki nie należały do brygady stacyjnej. Lampo należał.

VII

— Sprzedaj pan tego psa — powiedział pewnego razu gruby właściciel winnicy. Przyszedł znowu na stację, prowadząc za sobą małego osiołka. Odbierał właśnie kilka pustych beczek, które przysłano mu koleją.

— Niech mi pan go sprzeda — powtórzył. — Dobrze zapłacę.

Zawiadowca pokręcił głową.

— Przydałby mi się ten pies — ciągnął winiarz. — Potrzebuję dobrego stróża.

Potoczył beczkę. Osiołek strzygł uszami. Wiedział, że za chwilę obarczą go ciężarem.

Rolnik przyturlał następną beczkę. Związał obie i włożył je na grzbiet osła.

— Jeszcze dwie — mruknął i roześmiał się, widząc jak osiołek strzyże uszami. Lampo podszedł do kłapoucha i obwąchał jego zwieszony łeb. Zaszczekał. Bardzo lubił osiołka. Znali się doskonale, bo winiarz często przychodził na dworzec. Osiołek wyszczerzył zęby, jakby się śmiał.

— Patrz pan — powiedział rolnik — Lampo przyjaźni się z moim Grigo. Polubi i mnie. Nie będzie mu źle w winnicy.

Kolejarz wzruszył ramionami. Już nie raz nagabywano go, aby sprzedał psa. Nudziły go te prośby. Wiedział, że Lampo wróciłby na stację.

(Ciąg dalszy na str. 18)

KTÓRY NAJPIĘKNIEJSZY?
KTÓRY NAJSYMPATYCZNIEJSZY?

Fotografie z Wystawy Psów Rasowych

Fot. Jacek Łopuszyński

Warszawa, lipiec 1986

UŚMIECH PSA

Zanim uderzysz swego psa
(Był nieposłuszny,
Znów coś spsocił),
Spójrz w oczy psu —
Pies w oczach ma
Tyle wierności i dobroci...
Już
ręka
sama
w dół
opadnie.
Drapiąc psie ucho,
Głosem echa
— Niełądnie — mówisz mu —
niełądnie!
A pies do ciebie się uśmiecha.

Wystarczy tyci, o, kikutek,
Żeby jak muchę —
przegnać smutek.

Bo przez uczonych jest stwierdzone:
Że pies uśmiecha się
ogonem!

Ryszard Marek Groński

(Ciąg dalszy ze str. 15)

Osiołek, obarczony ciężkim ładunkiem, stęknął. Beczki zasłoniły go zupełnie. Widać było spod nich tylko jego nogi i uszy. Winiarz chwycił go za uzdę i pociągnął za sobą. Lampo odprowadził osła aż za obręb budynków stacyjnych, potem wrócił. Zawiadowca stał na peronie i patrzył na psa.

„Sprzedać Lampo? — myślał. — Nie, za żadne skarby!" Wiedział doskonale, że gdyby tak zrobił, naraziłby się kolegom, którzy uwielbiali psa. Sam zresztą nie przebolałby jego straty. Ale Lampo mógł uciec. Przyjechał nie wiadomo skąd. Co by się stało, gdyby pewnego dnia ogarnęła go tęsknota za dawnym domem?

„Głupstwo — pomyślał zawiadowca. — Lampo nie opuści nas nigdy. Przyzwyczaił się".

Wszedł do kancelarii. Lampo siedział na progu.

— Nie uciekniesz od nas? — spytał kolejarz.

Pies pokręcił ogonem. Polizał pana po ręce.

— Nie zdradzisz nas?

Lampo spojrzał na pana z takim oddaniem, że zawiadowca się rozczulił.

— Dobry, poczciwy — szepnął, gładząc psa po głowie. Chwycił go delikatnie za ucho.

— Uważaj, Lampo — powiedział. — Są ludzie, którzy chętnie zabraliby cię od nas. Nie daj się skusić. I pilnuj się, aby cię kto nie ukradł.

Lampo zaszczekał.

VIII

Lato kończyło się już. Pinie rosnące przy stacji nie traciły koloru, ale kwiaty na kolejowych rabatach zwiędły. Winiarz coraz częściej zjawiał się na peronie — potrzebował ciągle nowych beczek. W winnicy rozpoczęto zbiory.

Lampo urzędował pracowicie, jak zawsze. Zauważono tylko, że od pewnego czasu coraz rzadziej zjawiał się w bufecie. Czyżby jedzenie mu nie smakowało?

— Może karmią go pasażerowie — domyślał się bufetowy. Było mu przykro, że Lampo gardzi jego kuchnią.

— Jeszcze ktoś struje psa — powiedział raz do zawiadowcy. — Powinien pan uważać.

— Co też ci przychodzi do głowy? — żachnął się kolejarz. Zaniepokoił się jednak. Postanowił nie lekceważyć ostrzeżenia.

Zaczął zwracać baczniejszą uwagę na swego pupila. Nie, Lampo nie przyjmował żadnych poczęstunków ani od obcych dzieci, ani od dorosłych. Więc gdzie jadł?

Pewnego popołudnia zagadka wyjaśniła się. Lampo wybiegał zawsze do popołudniowego pociągu. Zawiadowca siedział zwykle o tej porze w biurze przy telefonie. Od lat ów pociąg odprawiał jego zastępca.

Lampo nie brał udziału w tej odprawie. Nie chciało mu się służyć z wyciągniętymi łapami.

Sztuczką tą popisywał się wtedy, gdy wychodził do pociągu z zawiadowcą. Po co więc spieszył się do popołudniowego ekspresu?

Zastępca zawiadowcy zauważył, że pies oczekując na ten pociąg siedział zawsze po drugiej stronie toru. Zatrzymujące się wagony zasłaniały go na kilka minut. Co wtedy robił?

Tego dnia zawiadowca, aby nie płoszyć psa, ukrył się w małej budce po drugiej stronie toru. Ekspres zajechał. Lampo pobiegł truchcikiem w stronę wagonu restauracyjnego. Usiadł, wyciągnął łapy i krótko zaszczekał. Okno wagonu opadło. Pojawiła się w nim głowa kucharza w białym czepku.

— Jesteś — uśmiechnął się kucharz. Rzucił psu przygotowaną porcję smakołyków. Lampo zabrał się do jedzenia.

Zawiadowca schował się głębiej w cień budki. „Nie można psu zabronić jeść tego, na co ma ochotę" — pomyślał. Pokręcił głową. — „Ten Lampo to spryciarz co się zowie" — uśmiechnął się. — „Ale poczciwy" — usprawiedliwił zaraz pupila.

Postanowił nie mówić o tym, co zobaczył. Bufetowy mógłby pogniewać się na psa.

— A jednak powiem — mruknął po chwili. — Niech starają się o lepsze jedzenie. Nasz dworcowy bufet już od dawna nie dba o gości jak należy.

IX

To, co stało się w tydzień później, poruszyło całą stację. Lampo przepadł. Zawiadowca szukał go wszędzie. Kiedy przekonał się, że psa nie ma na stacji, poszedł do znajomego winiarza. Jednak ten przysięgał, że o niczym nie wie.

Dróżnicy kolejowi, którzy tego dnia wybrali się na obchód dalekiego odcinka, przetrząsnęli po drodze wszystkie zarośla obok torów. Nie dało to żadnego rezultatu.

— Może Lampo wybrał się do Piombino? — pocieszał zawiadowcę jego młodszy kolega.

— O tej porze? — wzruszył ramionami zawiadowca. — Przecież jeździ tam ze mną co dzień wieczorem.

— Mógł zatęsknić za dziećmi. Może chciał spędzić z nimi cały dzień.

To było możliwe. Kolejarz uspokoił się. wieczorem, pełen nadziei pojechał do domu. Ale okazało się, że psa w Piombino nikt nie widział.

— Co mogło mu się stać? — pytały dzieci. Były smutne i rozczarowane, że Lampo nie przyjechał z ojcem jak zwykle.

— Nie wiem, co mogło się stać — powiedział cicho zawiadowca. Kolacja nie smakowała mu tego wieczora. Mały Roberto pochlipywał w kącie. Gina skubała fartuszek. Nawet matka straciła humor.

Rano dzieci odprowadziły ojca na stację. Ucałował je serdeczniej niż zwykle.

— Uszy do góry — powiedział. — Przywiozę go dzisiaj.

Nie był pewny, czy uda mu się dotrzymać obietnicy. Serce biło mu mocno, gdy pociąg zatrzymał się w Marittimie. Wyskoczył z wagonu i skierował się do biura. Jego zastępca, który stał na progu, rozłożył ręce.

— Nie ma go — powiedział.

Zawiadowca wszedł do kancelarii. Dopiero teraz poczuł, jak wzbiera w nim żal. Wyszedł znowu na peron.

Kolejarze kręcili się po dworcu jak zwykle. Ale opuściła ich ochota do codziennych żarcików.

— Daj mi szklankę wina, Pietro — mruknął zawiadowca wchodząc do bufetu. Usiadł przy kontuarze i zwiesił głowę.

— Mogli go otruć — powiedział bufetowy. Napełnił szklankę. — Mówiłem, że trzeba uważać...

— Nie mów głupstw — poderwał się zawiadowca. — Nie wierzę w to.

Wypił wino. Nie pomogło mu, jak się tego spodziewał. W sercu czuł rosnący niepokój.

W południe wpadł z hukiem na stację pospieszny z Turynu. Zawiadowca stał w swoim zwykłym miejscu. Właśnie podnosił rękę do daszka czapki, aby odpowiedzieć na ukłon znajomego konduktora, gdy na peronie rozległo się szczekanie. Z otwartych drzwi ostatniego wagonu wyskoczył Lampo.

Pociąg odjechał już, ale kolejarz nie mógł się jeszcze uspokoić. Najpierw zrobił surową minę, potem porwał psa na ręce i przytulił do szyi. Postawił go znowu na ziemi i znowu się zmarszczył.

— Gdzieś się włóczył? — spytał ostro.

— Jeździł do Turynu — wyjaśnił jakiś głos. — No i wrócił, jak pan widzi.

— Zabrałeś go ze sobą, Edwardo? — zdziwił się zawiadowca.

Edwardo, elektrotechnik, którego wysłał wczoraj do Turynu, uśmiechnął się.

— Nie, proszę pana. Kiedy wsiadłem do pociągu, widziałem tylko, że Lampo wskakuje do ostatniego wagonu. Zdziwiłem się nawet...

— Mogłeś zadzwonić do nas z Turynu, żeś go widział — obruszył się zawiadowca. — Od czego telefon? Chodziliśmy tu jak struci.

— Skąd mogłem wiedzieć? — rozłożył ręce Edwardo. — Miałem zresztą na niego oko. Nie zgubiłbym go. Ale on sam wiedział, kiedy wracać — roześmiał się. — Albo mu to pierwszyzna? Wlazł do powrotnego pociągu bez mojej pomocy. Bez biletu oczywiście.

— Dobrze, że wrócił — powiedział zawiadowca.

X

Niezwykła podróż Lampo do Turynu i jego szczęśliwy powrót, stały się głośne nie tylko na stacji. Kolejarze, dumni ze swego przyjaciela, pochwalili się jego wyczynem przed ludźmi z miasteczka. Na dworzec zaczęło zaglądać coraz więcej ciekawskich.

— Kundel, zwyczajny kundel — dziwiły się niektóre paniusie. Wyobrażały sobie, że pies tak mądry musi mieć niezwykle rasowy wygląd.

— To nie ma nic do rzeczy — powiedział roztropnie pan aptekarz. — Kundle są właśnie najmądrzejsze. Sam miałem takiego psa...

Aptekarz zaczął opowiadać o swoim psie, lecz przerwał mu właściciel cukierni.

— Prowadziłem kiedyś bufet w cyrku — powiedział. — Widziałem wiele psów. Tresowanych, ma się rozumieć...

— Myśli pan, że to cyrkowy pies? — zaciekawił się burmistrz miasteczka.

— Nie inaczej. Głowę dałbym, że zna różne sztuczki. Uciekł z cyrkowej budy, to jasne jak słońce...

— Zapomina pan, że cyrkowcy jeżdżą zwykle samochodami, a rzadziej koleją — pokręcił głową aptekarz. — Zresztą w cyrku nie uczyliby psa rozkładu jazdy — roześmiał się. — W jaki sposób? I właściwie po co?

Cukiernik wzruszył ramionami.

— Tak czy owak — powiedział — to uczony pies.

— Mądry — zgodził się aptekarz.

Ludzie przychodzili jeszcze przez kilka dni. Bufetowy na dworcu zarabiał teraz znacznie więcej. Ciekawscy, którzy odwiedzali jego lokal, pili sporo wina i jedli dużo ciastek. Ale zawiadowca miał dość tych gości. Toteż odetchnął z zadowoleniem, gdy ich wizyty wreszcie skończyły się.

Lampo znowu się ustakował. Jak dawniej „pełnił służbę" — pomagał robotnikom i pilnował kancelarii pana. Wieczorem jeździł z zawiadowcą na kolację do Piombino. Znano go już i na tamtej stacji.

Nikt nie spodziewał się, że psu przyjdzie kiedyś do głowy pomysł, aby znowu wyruszyć w nieznane. Było mu przecież tak dobrze. Kolejarze rozpieszczali go, jedzenia miał pod dostatkiem... I taki był przywiązany do swojego pana! Ale pewnego dnia zniknął znowu.

Tym razem zawiadowca nie martwił się już. Wiedział, co robić. Usiadł przy telefonie i zaczął dzwonić. W Turynie nikt nie widział psa. Nie wiedziano też o nim ani w Salazzo, ani w Savona, ani w Genui. Dyżurni ruchu, do których dzwonił nieznany kolega z małej stacji, byli zdziwieni. „Co za pies?" — pytali. Niektórzy nie mogli powstrzymać się od żarcików i kpin. Inni odkładali słuchawkę.

Kolejarz nie dawał za wygraną. Kiedy przekonał się, że na północnych stacjach nie ma co szukać, zaczął dzwonić na Południe. W Orbetello jakiś głos ofuknął go:

— Pajaca pan ze mnie robi? Od kiedy to psy jeżdżą same koleją?

Zawiadowca zmęczył się już, ale jeszcze nie ustawał. Po raz ostani podniósł słuchawkę i wywołał Rzym. Znużonym głosem powtórzył swoje pytanie. I wtedy dyżurny w Rzymie zapytał:

— Jak wygląda ten Lampo?

— Ma jasną pręgę na grzbiecie — wyjaśnił z bijącym sercem zawiadowca. Opisał dokładnie psa.

— To ten — roześmiał się głos w słuchawce. — Jest. Siedzi u nas w dyżurce. Sam tu trafił. Nakarmiliśmy go, oczywiście...

— Dziękuję — ucieszył się zawiadowca. Gdyby mógł, uściskałby swego rozmówcę.

— To mówi pan, że pies sam przyjechał? — zaciekawił się głos. — Niebywałe!

— Tak — odpowiedział zawiadowca. — Niech go pan wsadzi do pośpiesznego, który idzie do Turynu.

— Zrobione! — obiecał kolega na drugim końcu drutu. — Może pan być zupełnie spokojny. Odzyska pan swojego przyjaciela. Tylko czy pies będzie wiedział, gdzie ma wysiąść?

— Tak. Chyba tak — powiedział zawiadowca.

— A więc dobrze. Wyślę psa, choć sam zatrzymałbym go chętnie u siebie — powiedział głos. Wyłączył się.

Zawiadowca położył słuchawkę i otarł czoło.

XI

Wieść o niezwykłym psie zaczęła roznosić się po całych Włoszech. Bo Lampo po kilku tygodniach odpoczynku znowu zaczął podróżować. Trudno mu było tego zabronić. Zawsze zresztą potrafił wybrać chwilę, kiedy nie zwracano na niego uwagi. Wślizgiwał się wtedy do pociągu i odjeżdżał. Kolejarze na wielu odległych dworcach znali go już i wiedzieli, że to podróżnik z Marittimy. Stacyjka, o której istnieniu wiedziało dotychczas niewielu, stała się teraz znana w całym kraju.

— Przyjechał! — dzwonili do zawiadowcy koledzy z różnych miejscowości. — Możecie być o niego spokojni. Nakarmimy i odeślemy.

Nie zawsze wsadzali psa do pociągu. Nie wszyscy mieli ochotę się go pozbyć. Pewien kolejarz z Rapallo chciał go po prostu przywłaszczyć. Ale Lampo uciekł i wrócił do Marittimy. Żadna siła nie mogłaby go zatrzymać w obcym miejscu. Tylko Marittima była jego domem, a tutejsi ludzie — jego rodziną. Kochał ich, bo sam był kochany. Może domyślał się, że

sprawia im czasem kłopot, ale wiedział, że nie potrafiliby się na niego pogniewać. Rozpieszczali go.

Dzieci zawiadowcy przyjeżdżały nieraz do ojca. Kolejarz uśmiechał się, bo wiedział, dlaczego to robią. Gina spacerowła wtedy z psem po peronie, a szczęśliwy Roberto śmiał się jak nigdy w domu.

— Kochasz nas, Lampo? — pytały dzieci, gładząc puszystą sierść psa. Patrzył na nie z takim przywiązaniem i miłością, że rozumiały go bez słów.

Pewnego dnia do Marittimy zadzwonił redaktor jakiejś gazety.

— Czy to u pana jest ten cudowny pies? — spytał.

— Lampo? — roześmiał się zawiadowca. — Tak.

— Pozwoli pan, że przyjadę — powiedział redaktor.

Zjawił się następnego dnia z aparatem fotograficznym i sporym notesem. Zrobił kilka zdjęć, a potem długo rozmawiał z zawiadowcą o przygodach psa. Zapisywał coś w notesie. W dwa dni później w gazecie ukazał się bardzo ciekawy artykuł, w którym były i fotografie Lampo i opis jego wędrówek.

„Lampo to urodzony podróżnik" — napisano czarno na białym. „Jest chlubą całej stacji". — Gazeta chwaliła także kolejarzy. „Tylko ludzie, którzy mają złote serca, mogą przywiązać do siebie takiego psa" — pisał redaktor. „Lampo wraca zawsze tam, gdzie czuje się najlepiej".

Rys. Wanda Orlińska

— Widzisz, Lampo, coś narobił? — śmiali się kolejarze, którzy przeczytali gazetę. — Teraz nawet w Turynie wszyscy o nas wiedzą.

Lampo wysunął język. Dyszał, bo było mu gorąco. Minę miał taką, jakby się śmiał. „A widzicie — zdawały się mówić jego filuterne oczy — co ja potrafię?"

Roman Pisarski

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

PIERWSZY STAŁY MOST NA WIŚLE

Dziwny pojazd zbliżał się któregoś letniego dnia 1572 roku warszawską ulicą Mostową do królewskiej rzeki Wisły. Był to olbrzymi wóz z zawieszonym wewnątrz łożem, na którym leżał gasnący już człowiek. Wóz otaczali rycerze, dworzanie i zbrojni pachołkowie. Umierającym był ostatni z królewskiego rodu Jagiellonów — król Zygmut August. Zapragnął on przed śmiercią spojrzeć na budowę, której poświęcił tyle swego monarszego czasu. A budową tą był pierwszy stały most na Wiśle, zwany od imienia jego fundatora, mostem Zygmunta Augusta.

Na tamte czasy było to przedsięwzięcie niezwykle trudne, kosztowne i potrzebne.

Wszak do Warszawy, która za panowania Zygmunta Augusta stała się stolicą olbrzymiego polsko-litewskiego państwa, ciągnęli z różnych powodów, a często i bez powodu możnowładcy z licznymi orszakami, pojedynczo szlachta, kupcy itp. Tych ludzi trzeba było jakoś przez Wisłę przeprawić. Używane dotychczas promy nie mogły podołać przeprawie. Budowane w XVI w. mosty łyżwowe, czyli jak dziś powiedzielibyśmy pontonowe, nie nadawały się do montowania na Wiśle, którą rocznie płynęło 2 tys. różnych szkut, tratw i dubasów (rodzaj łodzi używanej w XVI w.). A więc taki most trzeba by parokrotnie w ciągu dnia rozbierać, aby przepuścić statki i łodzie. Rozbierać go trzeba byłoby również podczas przepływu kry i przyborów wody: latem i wiosną.

W tej sytuacji koniecznością stała się budowa mostu innego typu, znanego technice XVI-wiecznej, mostu stałego o drewnianej konstrukcji opartego na filarach. Filary te, drewniane lub murowane, były opierane na palach wbijanych w dno rzeki. Była to inwestycja szalenie kosztowna. Nie powstrzymało to jednak Zygmunta Augusta od powzięcia w r. 1548 decyzji o budowie na Wiśle mostu stałego w Warszawie.

Ale dlaczego dopiero w 1572 roku, czyli w 24 lata później mógł ostatni z Jagiellonów zobaczyć most w końcowej fazie budowy?

Jedną ze znanych przeszkód był protest, formalnie jak najbardziej uzasadniony, imć pana Stanisława Jeżowskiego, pisarza ziemskiego, który posiadał dziedziczny przywilej przewozu przez Wisłę. Przywilej ten w wypadku zrealizowania królewskiego projektu nie byłby wart funta kłaków. Toteż imć Jeżowski, płacący regularnie podatek w wysokości 600 dukatów rocznie, zaczął głosić wśród braci szlachty, z którą król musiał już w owym czasie bardzo się liczyć, swą krzywdę.

Zygmunt August, będący również prawym dziedzicem książąt mazowieckich, musiał honorować ich nadania. Toteż spór rozstrzygnięty został polubownie: w r. 1549 obie strony zawarły frimark, tj. dobrowolną umowę między królem a Jeżowskim, w której ten ostatni zrzekał się rodowego przywileju, otrzymując w zamian od Zygmunta Augusta dwie wsie osiadłe: Przekorę i Dobrą Wolę, młyn Rajek, połowę młyna Czaczka, 200 florenów, a także „...król przydać mu raczył 40 włók lasu bardzo dobrego, który zowią Cisse. Jest w tym lesie dębina wielka prosta, jest jesienina, grabina, olszyna i wszelkie drzewo, które się godzi do spustu".

Pierwsza trudność, wcale nie najmniej ważna, była pokonana. Budowy jednak nie rozpoczynano. Może były inne trudności formalne, może król, który zdecydował się tę inwestycję finansować z własnej szkatuły, miał kłopoty z gotówką, może nie było odpowiednich wykonawców. Trudno dziś wskazać przyczynę zwłoki. Faktem jest, że budowę zaczęto dopiero 19 lat później, 25 czerwca 1568 roku, kiedy to rozpoczęto wbijanie pierwszego pala u wylotu ulicy Chwaliszewo, zwanej od tego czasu ulicą Mostową.

Całość robót prowadzona była przez mistrza Erazma Cziotto. Nadzór nad przebiegiem budowy sprawował starosta warszawski.

Drewno, podstawowy wtedy materiał budowlany, sprowadzano Wisłą między innymi z lasów Kozienickich, z puszczy Pustelnik i z lasów Ziemi Sandomierskiej.

Gwoli ścisłości należy dodać, że po śmierci Zygmunta Augusta w 1572 roku, a więc przed oddaniem mostu do użytku, budowę prowadzono dalej na polecenie siostry króla, Anny Jagiellonki, która finansowała zakończenie robót. Dla ruchu pieszego most otwarto 5 IV 1573 roku.

Współczesny kronikarz tak odnotował to wydarzenie:

„...Zygmunt August zbudował na Wiśle most drewniany, długi stóp 1150, który tak długością, jak i wspaniałością widoku w całej Europie prawie nie miał sobie równego

i podziw powszechny wywoływał".

Warto zapamiętać, że pierwszy stały most przez Wisłę składał się z 22 przęseł, miał ok. 500 m długości i 6 m szerokości. Na podporach z dębowych pali, tzw. jarzmach, obitych miedzianą blachą oparte były drewniane kratownice. Spód konstrukcji podniesiony o 4 m nad średnim poziomem wody umożliwiał swobodny przepływ łodzi i statków.

Na moście panował wielki rozgardiasz, z którym nie mogła dać sobie rady służba porządkowa złożona z 50 pachołków, mających prawo niesfornych woźniców karać uderzeniem laski, za co ich panowie nie powinni się obrażać.

Aby położyć kres bałaganowi, Sejm wydał następującą ustawę:

„...jeśliby jeden drugiego umyślnie z mostu zepchnął, ma być karan siedzeniem w wieży rok i sześć niedziel i dwiema sty czterdziestą grzywien, a jeśliby zepchniony utonął, ma gardło tracić ten, co zepchnął..."

Ewenementem w okresie, gdy myto płacono za przejazd przez każdą groblę, przez każdy mostek, było to, że przejście przez ten most było bezpłatne, dostępne dla każdego. A przecież koszt budowy był ogromny, bo wyniósł ok. 100 000 czerwonych złotych. Ale ani Zygmunt August, ani Anna Jagiellonka nie myśleli o zwrocie poniesionych nakładów.

Nic dziwnego, że wielki poeta polski Jan Kochanowski odnotował ten fakt następującym wierszem:

„Bógżeć zapłać, o królu, żeś ten most zbudował.
Pierwejem zawżdy szeląg nad potrzebę chował,
A dziś i tenem przepił, bo idąc do domu
Najpóźniej, od przewozu nie płacę nikomu".

W r. 1603 lody zerwały jedno z przęseł. Włoski podróżnik Andrea Cellario napisał tak o tym wydarzeniu:

„...łatwa jeszcze naprawa została zaniedbana, a most cały przepadł i zginął..."

Około roku 1615 nie było już żadnego śladu po pierwszym wysokowodnym moście. Na następny stały most Warszawa musiała czekać kilka wieków.

Józef Zięba

Most Zygmunta Augusta — koniec XVI wieku

KOŁYSANKA

Już zerwane jabłka wszystkie.
Dywanami leżą liście.
Śpij, drzewo.

W dziupli już poczwarki śpią.
Barwne skrzydła im się śnią.
Śpij, drzewo.

Za siódmą górę poleciał szpak.
— Powróci wiosną?
Tak.
Śpij, drzewo.

Jadwiga Jalowiec

DRZEWA

W jesieni drzewa rdzewieją
jak blaszane garnuszki w deszczu,
potem tracą głowy z rozpaczy,
że muszą stać w miejscu
i, gdzie się lato podziało,
nie mogą zobaczyć.

Na gołych gałęziach
nie ma liści, tylko wrony i gawrony.

Drzewa śnią. W kolorze zielonym.

Elżbieta Zechenter-Spławińska

SZUMIAŁ LAS

Szumiał las, śpiewał las,
gubił złote liście.
Świeciło się jasne słonko
chłodno, a złociście...

Rano mgła w pole szła,
wiatr ją rwał i ziębił,
opadały ciężkie grona
kalin i jarzębin...

Każdy zmierzch moczył deszcz,
płakał, drżał na szybkach...
I tak ładnie mówił tatuś:
jesień gra na skrzypkach...

Józef Czechowicz
Rys. Irena Łakomiec-Kamińska

ROZSTRZYGNIĘCIE PŁOMYCZKOWEGO KONKURSU MORSKIEGO

Na konkurs ogłoszony w tegorocznym 11 numerze „Płomyczka" nadeszło 6 i pół tys. kartek z wypełnionymi kuponami. Po sprawdzeniu wylosowano 100 spośród prawidłowych odpowiedzi. Ich autorom wysłane zostaną nagrody książkowe.

OTO ODPOWIEDZI, JAKICH OCZEKIWALIŚMY:

1. *Trójmiasto to: Gdynia, Gdańsk i Sopot.*
2. *Herbem Gdyni jest ten oznaczony literą „b".*
3. *Jeziora przybrzeżne oddzielone od morza wąskim paskiem lądu to: Łebsko, Gardno, Jamno.*
4. *II wojna światowa rozpoczęła się na Westerplatte.*
5. *Masowcem przewozi się sypki cement, drewnowcem — deski i belki, tankowcem — ropę naftową.*
6. *Pierwszym polskim żeglarzem, który samotnie opłynął kulę ziemską, był Leonid Teliga.*
7. *Nad morzem znajdują się dwa parki narodowe: Woliński i Słowiński.*
8. *Te fotografie zrobiono w Gdańsku.*
9. *Polskie wybrzeże ma 524 km długości.*
10. *Szczecińskie, elbląskie i słupskie.*

LISTA NAGRODZONYCH

Grzegorz Antczak — Śrem, Izabela Borek — Duszniki Zdrój, Agnieszka Brzezińska — Konin, Magdalena Butkiewicz — Świebodzin, Beata Borówka — Zawiercie, Beata Bogacz — Dobra, Magdalena Buchholz — Pruszcz Gdański, Piotr Berenthal — Gdańsk, Magdalena Bączkowska — Szydłowo, Marcin Ciągała — Sosnowiec, Małgorzata Cieślarczyk — Śrem, Żaneta Curlej — Czaple, Adam Domagała — Kazimierza Wielka, Grzegorz Firlit — Dzierżoniów, Katarzyna Frąckowiak — Śrem, Małgorzata Górniak — Lipsko, Justyna Glazik — Cekcyn, Paweł Grzelczyk — Śrem, Piotr Gruszka — Opoczno, Anna Gaweł — Boruja Kościelna, Joanna Gałęziowska — Olsztyn, Monika Górska — Skarżysko Kam., Alina Gwizdoń — Ligota, Natalia Grunt — Golina Wielka, Wojciech Hamulewicz — Kraków, Renata Huc — Przeworsk, Krystian Hanke — Pabianice, Marlena Iwuć — Gdańsk, Magdalena Jóźwiak — Toruń, Ola Jurczuk — Bielsko-Biała, Agnieszka Janiak — Lisków, Katarzyna Kostrzewa — Warka, Ewa Król — Gorlice, Barbara Kosiorek — Kęty, Katarzyna Kwiecień — Lipsko, Katarzyna Koczwara — Brzesko, Iwona Kamińska — Śrem, Lidia Król — Boreczno, Agnieszka Kwiatkowska — Warszawa, Dorota Kocurek — Katowice, Agnieszka Kołodkiewicz — Mostki, Agnieszka Kamińska — Śrem, Tomasz Lechowski — Tarnów, Renata Langner — Koszalin, Sławomir Litke — Śrem, Katarzyna Kochańska — Jasło, Sylwia Łoboda — Warszawa, Aneta Łupińska — Łapy, Julia Martusewicz — Łódź, Karina Mikołajczak — Śrem, Joanna Mosiej — Mrągowo, Dominika Mól — Limanowa, Maciej Nyga — Mysłowice, Sebastian Nadolny — Wojnowo, Ewelina Najduszyńska — Kętrzyn, Małgorzata Narowska — Krosnowice, Marek Nowicki — Śrem, Roman Osiński — Warszawa, Dariusz Płończak — Śrem, Mariusz Prokuski — Dębica, Bartek Pieczychlebek — Warszawa, Łukasz Pieczonka — Wałbrzych, Wioletta Padurska — Śrem, Magda Plato — Konin, Anna Paliszkiewicz — Głogów, Jarosław Paplewski — Koszalin, Anna Przydatek — Gruszewo, Robert Ścigała — Łódź, Magda Rogalińska — Konin, Przemysław Roszek — Chojnice, Agnieszka Rembowicz — Janów, Ewa Rabiczko — Popławce, Marta Rabiczko — Popławce, Anna Radlińska — Śrem, Krystyna Szlaska — Stara Miłosna, Jakub Szmigiel — Smardzewice, Jakub Szewc — Opoczno, Wojciech Szakiel — Jelenia Góra, Agata Szal — Nysa, Dorota Słąb — Zawiercie, Grażyna Sokołowska — Zdzieszowice, Katarzyna Stępniakowska — Lipsko, Rafał Słab — Zawiercie, Urszula Seretiuk — Dobra, Marta Styczeń — Darłowo, Honorata Stencel — Śrem, Przemysław Stefański — Poznań, Agnieszka Sonik — Katowice, Agnieszka Staniak — Kielce, Anna Stembalska — Wrocław, Elżbieta Tecław — Wieleń, Rafał Tomczyk — Tarnowska Wola, Joanna Tarczyńska — Łódź, Witold Tomaszek — Tarnów, Dominika Włodarczyk — Goleniów, Hanna Zielonka — Opole, Joanna Zajdel — Krosno, Katarzyna Zimna — Wrocław, Luiza Żak — Warka, Paweł Żurek — Śrem.

„DZIECI PŁOCKA" — MAŁE, DUŻE I DOROSŁE

Opowiem wam o „Dzieciach Płocka". Najpierw — że jest ich wszystkich 4 tysiące. Potem — że niektóre z nich już od dawna nie mieszkają w Płocku, a mimo to ciągle nazywają siebie „Dziećmi Płocka". I mają rację.

Wreszcie — że najstarsze z nich, choć niechętnie się do tego przyznają, mają lat pięćdziesiąt z okładem. I to też są „Dzieci Płocka". Te obiecują druhowi Wacławowi Milke:

— Druhu — już wkrótce przejdę na emeryturę, wtedy ci pomogę przy młodszych dzieciach.

Rozumiecie coś z tego? Jeśli nie, to Wam dla ułatwienia podpowiem. „Dzieci Płocka", harcerski zespół pieśni i tańca, właśnie skończył czterdzieści lat. I wszyscy, którzy kiedyś śpiewali i tańczyli w tym zespole, czują się nadal jego członkami. Przychodzą na przedstawienia swych coraz młodszych kolegów, pomagają im szyć i naprawiać kolorowe stroje ludowe, a jeśli jest jakaś ważna uroczystość, tak jak ta — czterdzieste urodziny zespołu, sami przywdziewają piękne kostiumy i ruszają w tany, i śpiewają, tak samo jak czterdzieści lat temu.

* * *

Był jesienny, dżdżysty wieczór i harcerze zebrani w „Małachowiance", słynnym płockim liceum (wtedy było to gimnazjum), zastanawiali się, czym wypełnić swoje zbiórki. Żeby było ciekawie, przyjemnie i pożytecznie. Byli trochę starsi od Was, mieli po kilkanaście lat i po dopiero co skończonej wojnie, wrócili do szkoły. Wtedy, na tej zbiórce, druh Wacław Milke zaproponował:

— Bądźmy artystyczną drużyną. Nauczymy się śpiewać i tańczyć, i będziemy jeździli po całej Polsce, by uprzyjemniać ludziom czas po pracy.

Jak pomyśleli, tak zrobili. Przez kilka lat, zanim w 1950 roku nazwali się najprościej i najprawdziwiej — „Dziećmi Płocka", tworzyli artystyczną drużynę, która coraz więcej

piosenek śpiewała i coraz lepiej tańczyła. Druh Jan Chojnacki napisał wtedy specjalnie dla nich piosenkę: „Gdy artystyczna śpiewa drużyna". I to był przez wiele lat nieoficjalny hymn zespołu, którym zawsze rozpoczynał on swoje występy.

Jeździli do Kaszubów i Kurpiów, by nauczyć się tamtejszego folkloru. W rewanżu występowali — nie na deskach teatru, nie na estradzie, ale w polu, na łąkach, przyjmując w podzięce prosty poczęstunek z serca dawany — świeży chleb, pieczony jeszcze tradycyjnie w domowych piecach, i mleko prosto od krowy. Występowali, w czym kto miał, bo to były biedne lata powojenne — w tatowych butach, w sukience uszytej z firanki. Przedsięwzięli rajd po Ziemiach Odzyskanych, gdzie nowi osiedleńcy — niedawni żołnierze — właśnie zapuszczali korzenie w ziemi znów polskiej.

I dobrze szło „Dzieciom Płocka" w tym rozśpiewanym i roztańczonym harcerstwie, skoro właśnie ich wysłano najpierw na festiwal młodzieży w Budapeszcie, a potem w Berlinie. Bo wiadomo już było, że dobrze zaprezentują siebie samych, polski folklor, nasz kraj.

I tak już zostało. Jednak ciągle muszą się uczyć od nowa, ćwiczyć i próbować. Bo przecież co roku jedne „Dzieci" dorastają — wyjeżdżają na studia, idą do pracy, żenią się, wychowują swoje dzieci — i co roku zjawiają się w zespole nowe siedmiolatki, z którymi trzeba wszystko zaczynać od początku. Jedno się tylko nie zmienia. Ciągle, od czterdziestu lat, zespołem kieruje druh Wacław Milke. Ten sam, który wtedy, jesiennego wieczora powiedział: „A może zostaniemy drużyną artystyczną?..."

Niewiele się zmienił od tamtej pory, może mu tylko trochę skronie posiwiały... Ale wigor ma ciągle ten sam i energię, i pomysły.

Bardziej się zmienił druh Andrzej Milke, czyli Milke-junior, bo w krótkich spodenkach jeszcze chodził, kiedy go ojciec do zespołu wprowadził, a teraz już go na scenie nie widać, za to nie brak mu zakulisowych obowiązków. Druh Andrzej jest teraz kierownikiem organizacyjnym zespołu. Ale tradycję rodzinną podtrzymuje obecnie — syn Andrzeja, wnuk Wacława, siedmioletni Tadzik.

Druh Wacław Milke — jak ojciec Wirgiliusz — uczy już czterdzieści lat dzieci swoje. Szli w jego ślady płocczanie przyprowadzając do zespołu swoje dzieci. Długo by je wymieniać, więc wspomnę tylko o najwierniejszych.

- Druh Bogdan Rogalski, który ani rusz nie chciał wyrosnąć z „Dzieci Płocka", więc został z nimi teraz jako choreograf,
- Druh Henryk Kadziński, szef orkiestry, który żony daleko nie szukał, bo ją znalazł przed laty wśród „Dzieci Płocka" i teraz córce do tańca przygrywa,
- Druh Kajtek Adamski, co od swych lat dziecinnych nie rozstaje się z akordeonem i dalej gra w zespole...

Występy, wyjazdy, oklaski i uznanie — to jakby deser po świątecznym obiedzie. Powszednia zaś porcja owsianki to wielogodzinne próby, obowiązkowo dwa razy w tygodniu, a latem i podczas ferii zimowych — wspólne obozy. I na nich najwięcej się „Dzieci" uczą piosenek i tańców. Nie wiadomo, gdzie się kończy zabawa, a gdzie zaczyna praca. Mieszają się ze sobą. Do zespołu przecież przychodzą tylko ci, którzy lubią taniec, śpiew i muzykę.

Podczas wspólnych wakacji i wyjazdów zacieśniają się przyjaźnie i nawiązują nowe. „Dzieci Płocka" wszędzie tam, gdzie pojadą, zyskują sobie przyjaciół. W zeszłym roku zespół występował w Londynie na wielkiej międzynarodowej imprezie, z której dochód przeznaczony był na fundusz pomocy dzieciom świata.

Podczas swego pobytu w Anglii „Dzieci" mieszkały w angielskich domach. Niewiele znając język mogły jednak porozumieć się i zaprzyjaźnić ze swymi angielskimi rówieśnikami. Dowód, oprócz wymiany listów — kilkanaścioro małych Anglików przyjechało na jubileusz zespołu,obchodzony w Dniu Dziecka, 1 czerwca tego roku.

Na jubileusz do Płocka przyjechała też belgijska grupa folklorystyczna „Dianul", która zimą gościła nasz zespół. Goście zatańczyli tańce kurpiowskie i zaśpiewali najczystszą polszczyzną poleczkę z Opoczna.

Gdzie się tego nauczyli?

Od „Dzieci Płocka" podczas ich pobytu w Belgii! Znaczy to, że polska piosenka, wyśpiewana przez harcerski zespół za granicą,

Fot. Jan Waćkowski

nie milknie wraz z oklaskami kończącymi występ i brzmi znacznie dłużej.

Niech więc dalej rozbrzmiewa dźwięcznie i radośnie śpiew „Dzieci Płocka", one same zaś, choć wyrosną i dorosną, niech nadal zostaną „Dziećmi Płocka". Tego im życzy —

Zespół Redakcji „Płomyczka"

Wielkim przyjacielem „Dzieci Płocka" jest pan Henryk Baranowski z Londynu, a najbardziej widocznym dowodem tej przyjaźni — piękny autokar ufundowany przez niego dla Zespołu. Na zdjęciu druh Wacław Milke wsród członków Zespołu.

ZGADUJ • ZGADULA • ZGADUJ • ZGADULA

KRZYŻÓWKA

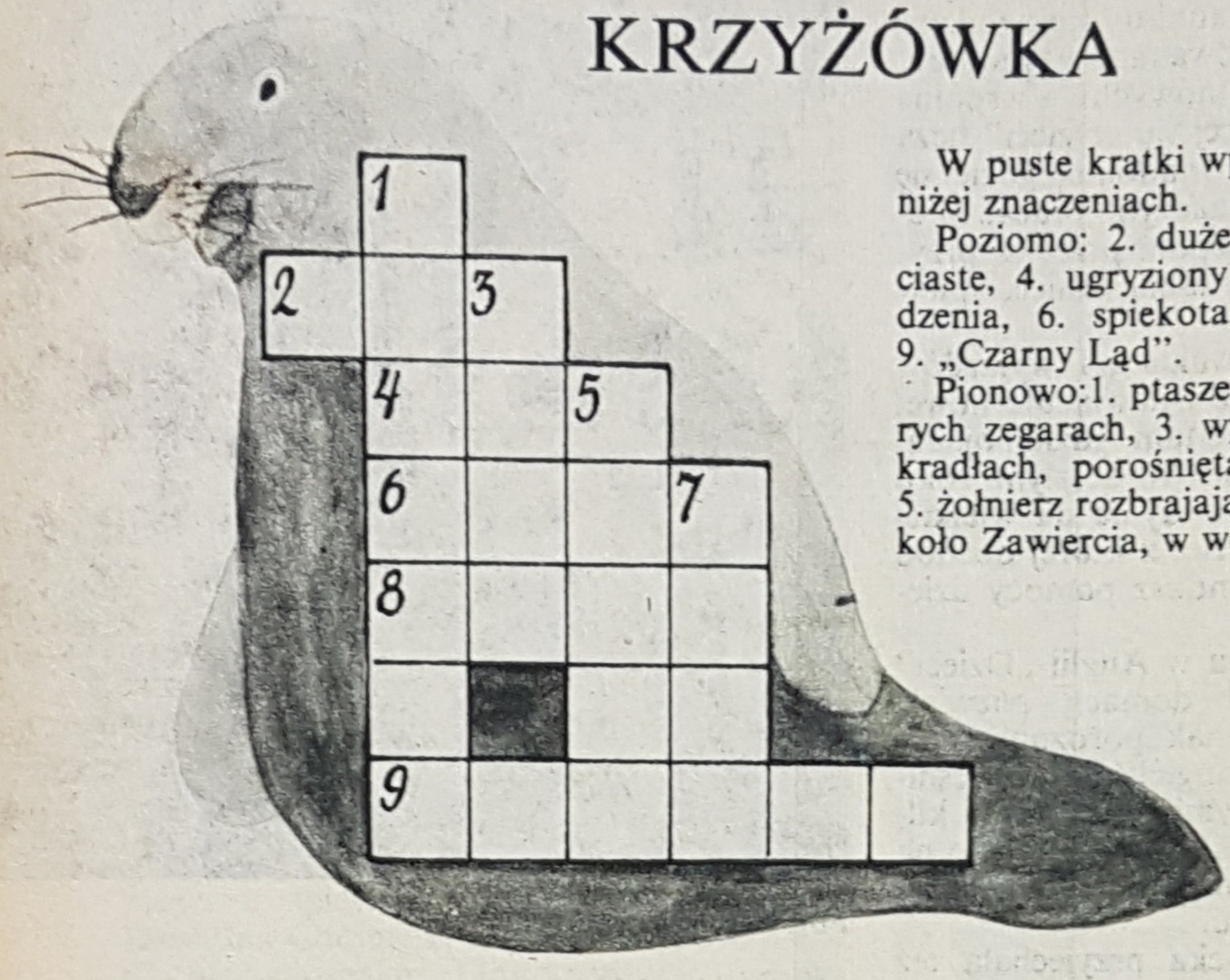

W puste kratki wpisz wyrazy o podanych niżej znaczeniach.

Poziomo: 2. duże, rozłożyste drzewo liściaste, 4. ugryziony kawałek czegoś do jedzenia, 6. spiekota, skwar, 8. noga psa, 9. „Czarny Ląd".

Pionowo: 1. ptaszek mieszkający w niektórych zegarach, 3. wyspa na bagnach i mokradłach, porośnięta trawami i krzakami, 5. żołnierz rozbrajający niewypały, 7. miasto koło Zawiercia, w woj. katowickim.

KWADRAT MAGICZNY

W kratki kwadratu wpiszcie 5 wyrazów pięcioliterowych o niżej podanych znaczeniach tak, aby je można było czytać jednakowo poziomo i pionowo.
Znaczenie wyrazów: 1. wielka ilość, 2. wirusowa choroba, 3. twarda reguła, 4. miasto wojewódzkie, 5. imię męskie.

1	2	3	4	5
2				
3				
4				
5				

Zagadka 1

Obiegają Ziemię,
biegną poprzez przestrzenie,
zatrzymują się na antenie.

Zagadka 2

Stoją w rzędzie
jak na grzędzie,
o wszystkim opowiadają,
chociaż ust nie mają.

W. S.

JAKIE TO PAŃSTWO?

Ułóżcie wymienione niżej nazwy państw w takiej kolejności, aby pierwsze litery tych nazw utworzyły nazwę jeszcze jednego państwa.
ALBANIA, ARGENTYNA, IRAN, ISLANDIA, NORWEGIA, HAITI, PANAMA, SZWECJA, ZWIĄZEK RADZIECKI

NASZ ZWIERZYNIEC

WIEWIÓRKA

Gdy tylko na starej naszej dzikiej gruszy zaczynają dojrzewać ulęgałki, odwiedzają je wiewiórki. Oglądamy wówczas, jak po płocie biegają w obie strony.

Wiewiórka pyszni się pięknym, puszystym ogonem, którego używa jako spadochronu, gdy skacze na niższe piętra drzew. Wiewiórka ma piękne, sterczące uszki, bystre oczy i rudo-białe futerko.

Wiewiórka w dzień pracuje, w nocy drzemie. Gromadzi zapasy na zimę: owoce, nasiona. W tym celu suszy grzyby i jagody. Nie zapomina o wędrówkach do ogrodów i sadów, gdzie można urwać orzech laskowy lub włoski. Przy okazji zlizuje słodką ciecz wydzielaną na liściach śliw przez mszyce. Oczywiście zjada razem i producentki tej cieczy — mszyce, z czego cieszą się działkowicze i darują jej kradzież orzechów.

Wiewiórka ma kończyny przednie krótsze od tylnych, co pomaga jej w poruszaniu się po drzewach, ale i w takich pracach, jak poprawianie dziupli, łupanie orzechów, robienie zapasów. Niektóre nasiona wiewiórka chowa w wygrzebanych norkach, o których często zapomina. Dziwią się ludzie potem, gdy w miejscu najmniej spodziewanym wyrasta orzech. — Kto go posiał? — pytają.

Wiewiórka na drzewach jest bezpieczna, natomiast na ziemi musi uważać, bo jest słabą biegaczką. Czyha na nią kot, lis, jenot, myszołów, łasica. Siedząc na drzewie, gdy się jej coś nie podoba na ziemi, fuka, tupie i może nawet cisnąć w intruza twardą, zieloną szyszką. Zimą przesypia dnie całe w dziupli, latem na czas spoczynku wchodzi do opuszczonych gniazd ptasich, nad którymi robi z suchych gałązek daszek, dlatego potem wyglądają jak kula z chrustu.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 2075/86 A-7
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

WIEWIÓRKA

Tekst na str. 31

Ryszard Borowy

CENA 20 ZŁ